

PROMIEN

PISMO MŁODZIEŻY

GIMNAZJUM MĘSKIEGO w OSTROWIE Wlkp.

NAKŁADEM T. T. Z-tu

Rok XI.

Październik 1935 r.

Nr. 2.

— Silniejszy jestem, cięższą podajcie mi zbroję! —

PROMIEŃ

Miesięcznik Młodzieży Gimnazjalnej w Ostrowie Wlkp.
nakładem T. T. Z-u.

Kierow. wydawnictwa
Edward Grzęda

Redaktor odpowiedzialny
Prof. dr. J. Jachimiek

Redaktor naczelny
Edmund Kołodziej

Stosunek ucznia do profesora.

Zagadnienie to jest z pewnością jednym z najważniejszych i zawsze aktualnych w życiu szkolnym.

Przecież tak często słyszy się narzekania uczniów na profesorów. A ileż to gromów ze strony nauczycieli z tego samego powodu niemal ustawicznie spada na głowy uczniów. Tak być nie powinno. Od harmonijnej bowiem współpracy profesora z uczniami zależą postępy tych ostatnich w nauce.

Im większa będzie ta współpraca, tem lepsze będą jej wyniki. Jeśli jej nie będzie wcale, wyniki będą opłakane. Obie zatem strony, tak profesorowie, jak i uczniowie powinni dążyć do jak najlepszej współpracy wzajemnej. To bowiem jest mojem zdaniem, głównym warunkiem owocnej pracy i pozytywnych wyników. Że profesorowie robią w tym kierunku wszystko, co jest w ich mocy, o tem nie możemy wątpić ani przez chwilę. Ogół bowiem profesorów oddaje się pracy nad wychowaniem i nauczaniem młodzieży z zamiłowaniem, zapalem i z poświęceniem.

O ile zatem w licznych wypadkach niema tej współpracy profesorów z uczniami, jeśli częstokroć dochodzi do poważnych nieraz nawet nieporozumień między nauczycielem a uczniami, to winy należy w przeważnej części doszukiwać się po stronie tych ostatnich.

Nie można jednak twierdzić, że uczniowie robią to ze złej woli i z całą świadomością, umyślnie! Często nawet są święcie przekonani, że słuszność jest po ich stronie. Nieraz nawet tak jest. Ale mimo to uczniowie we własnym interesie powinni unikać jak najbarlziej niepotrzebnych zatargów ze swymi profesorami, które bardzo często wywołują tylko

dla jakiejś tam błażej przyczyny, którą możnaby równie dobrze przemilczeć i nie zakłócać dla niej niepotrzebnie zgody i pokoju.

Fakt, że uczniowie mimo to często „zadzierają” z nauczycielami, należy zatem tłumaczyć nietyle złą wolą z ich strony, ile raczej niezdawaniem sobie jasno sprawy z tego, że to może jedynie pociągnąć za sobą złe następstwa, chociażby nawet pretensje ich były, jak to nieraz bywa, uzasadnione.

Może wypadki podobne nie miałyby miejsca, gdyby uczniowie umieli się wczuć w położenie profesora. To jednak jest rzeczą bardzo trudną, raz dlatego, że ten, który chciałby dobrze zrozumieć położenie nauczyciela, samby nim najpierw musiał być, a po drugie, ze względu na lekkomyślność, właściwą młodzieży. Ale jedną rzecz każdy uczeń powinien zrozumieć, mianowicie to, że położenie nauczyciela jest bardzo trudne. Z jednej strony stoi profesor, z drugiej uczniowie. Profesor jest sam, uczniów — dziesiątki i setki.

Że wobec tego uczniom łatwiej jest zastosować się do profesora niż profesorowi do nich, temu nikt nie zaprzeczy. Nie można przecież od profesora wymagać, żeby był może stulicowym, dla każdego ucznia innym. Jest wprost rzeczą niemożliwą dla nauczyciela dogadzać wszystkim uczniom tak, jak oni tego by chcieli. Ilu uczniów — tyle charakterów różnych. Każdy chciałby mieć inaczej. Od profesorów żądają nieraz rzeczy niemożliwych, od siebie zaś jak najmniej. A powinno być odwrotnie. Uczeń winien dostosować się bezwzględnie do profesora, nie zaś odwrotnie, chociażby tylko dlatego, że profesor jest człowiekiem starszym i doświadczonym. Gdyby tak było — zadanie nauczyciela byłoby bez porównania łatwiejsze, różne przykre i niepotrzebne nieporozumienia nie miałyby miejsca, noty z zachowania byłyby lepsze, a co najważniejsze, praca naukowa stałaby się więcej celową i owocniejszą...

Mógłby ktoś powiedzieć, że nieraz wina nieporozumień leży po stronie profesorów. I słusznie. Ale to bynajmniej nie upoważnia ucznia do nieodpowiedniego zachowania się względem nich. Przecież i nauczyciel jest człowiekiem, a jako taki i on może zbłądzić, albo się omylić. Nie można się więc znowu oburzać zbytnio na to, że profesor może powiedział kilka przykrych słów, że ocenił zadanie zbyt ostro i t. p. Gdybyśmy tak porównali uchybienia profesorów i uczniów, czy nie mieliby ci ostatni bezwzględną przewagę? Musimy sobie z tego zdać sprawę, że na uczniów patrzy tylko pro-

fesor, a na profesora patrzą wszyscy uczniowie. Nic więc dziwnego, że im łatwiej wykryć błędy u niego, aniżeli jemu u nich. A te błędy podniesione często przez nich do potęgi, w rzeczywistości wyglądają znacznie mniej groźnie, w każdym razie po większej części.

Nie potrzeba się zatem zbyt oburzać w takich wypadkach, przecież i profesor często wybacz a przez palce patrzy na „występki” uczniów, bo wie, że młodzież musi się trochę „wyszumieć”. Wszelkie zaś antagonizmy, panujące między profesorami a uczniami, są jedynie skutkiem tych nieszczyśnych zatargów i nieporozumień. Można by tego przynajmniej w dużej mierze uniknąć, gdyby była dobra wola.

Wtedy „przyszła inteligencja” zaoszczędziłaby nauczycielom i sobie dużo przykrości, goryczy i żalu. Im mniej byłoby tych przykrych rozdzwięków, tem weselsze byłoby życie szkolne, a obustronna chęć do pracy byłaby z pewnością większa...

Szymoniak Jan

Francois Mauriac.

(Dokończenie)

I oto wydobyto już na jaw u bohaterów „mauriac’-owskich to wszystko co się w nich opiera. Wielu z nich poznaje swoją drugą, podłą naturę, a wtedy następuje punkt kulminacyjny: powrót duszy ku Temu, który dał jej początek bytowania. Przecież dusze, które wydają się innym straszne mają zawsze odrobinę „tajemnego źródła czystości”. Niby to przedstawiają dla gorliwych z pozoru, wyznawców Krzyża obraz kompletnego rozkładu życia, a w rzeczywistości tworzą typ pod wieloma względami wyższy od chrześcijań-faryzeusów, którzy systematycznym spełnianiem zewnętrznych obowiązków zakrywają pustkę własnej duszy. Taka miernota chrześcijańska powoduje odwrót tych, którzyby chętnie powrócili pod znak Krzyża. W motto powieści: „Kłębowisko żmij”, mówiąc o przyczynach upadku bohatera dodaje Mauriac:..... Namiętność..... ale czyż nade-wszystko nie ci wierni chrześcijanie, szpiegujący go, a przez niego dręczeni? Iluż to wśród nas odpycha w ten sposób grzesznika, odwracając go od prawdy, która nie z każdego może promieniować..

Nie oznacza to jednak bynajmniej, jakoby twórca usprawiedliwiał niebezpieczną grę życia swych upadłych bohaterów. W bezlitosnem, katolickiem, surowem spojrzeniu ukazuje Mauriac trąd chorej natury, która oczekuje dobroczynnej ręki lekarza, zakładającej gojący opatrunek. Nie dziw tedy że obok upadłych częściowo, lub bardzo wiernych chrześcijan stawia nam Mauriac wspaniałe sylwetki osób żyjących pełnem życiem nadprzyrodzonym (W „Le noeud de viperes są niemi: Książd Ardowin, Łukasz, Marja, w „La Chair et le Long”: Klaudjusz.) One to wywierają kolosalny wpływ na los swych upadłych współbraci, którzy poznawszy przy ich pomocy swój błąd, stoją przed dwoma tylko możliwościami: Albo kroczyć poprzez ciernie i kolce wytężonej pracy nad sobą wwyż, albo usławszy sobie nietrwale drogę swego żywota płatkami z róż staczać się po niebezpiecznej pochyłości.

Jak z wszystkiego można wywnioskować: Mauriac jest poetą życia wewnętrznego. W powieściach jego przeważają pierwiastki moralne nad intelektualnemi, zagadnienia osobowości nad kwestjami społecznymi, czy politycznemi. Poprawę bowiem człowieka widzi Mauriac w mocnem tętnie życia religijnego, w poszanowaniu własnej osoby.

Stwarzając w swych utworach karykatury katolików, czy sylwetki osób zupełnie upadłych, spotykał się czasem Mauriac z zarzutem, że potępia swych bohaterów, w przeciwnym bowiem razie nie odtworzałby w tym stopniu ich upadku. Przecząc temu Mauriac dodaje, że jedyną rzeczą, której nienawidzi i którą z trudem znosi w ludziach to płaskie [zadowolenie ze siebie (Le romancier et ses personnages str 132-133.) W osobach, zdawałoby się, zupełnie upadłych, dopóki istnieje świadomość własnej nędzy i grzechu, dopóki widzą one własny brud, dopóty istnieje możliwość dźwignięcia się i kroczenia wzwyż. To jest u Mauriaca podstawowym warunkiem nawrócenia, który autor akcentuje w każdej swej powieści. Niedosć na tem. Bezlitosne widzenie swej rzeczywistości wewnętrznej stanowi nieodzowną i konieczną cechę katolicyzmu, pojętego w pełnem tego słowa znaczeniu. W dobitny sposób przewija się w powieściach mauriacowskich zagadnienie płaskiego traktowania życia i związanej z niem religji: symbioza podniosłych zasad z płaskiem, nędznem, a nawet podłym życiem. Demaskowanie obiegu pobożności jest dla autora francuskiego jednym z naczelných zadań w twórczości powieściopisarskiej.

Takie odmalowanie w całej swej dotychczasowej twórczości zbliżonego życia wewnętrznego świadczy najlepiej,

że Mauriac ma doskonały zmysł obserwacyjny i zmysł, który pozwala widzieć czytelnikowi między innemi prawdziwy stan katolickiego bytowania w szarem, codziennem życiu człowieka.

Mówiąc o artyźmie Mauriac'a nie można pominąć wspomnianej głównej, charakterystycznej cechy: ton powieści leży nie w żywej akcji zewnętrznej, lecz w pełnej analizie przeżyć bohaterów. Stąd owo uciekanie się nieraz do formy pamiętnika i wprowadzanie odrazu czytelnika w jądro rzeczy. Wszystko to zaś czyni Mauriac w tym celu by zapobiec osłabieniu wrażenia aktualności dramatu. W swych bowiem utworach z mistrzowską wprawą wplata i harmonizuje Mauriac przeszłość, teraźniejszość i przyszłość nie szkodząc nic samemu sednu sprawy.

Jedną z najbardziej znamienitych cech twórczości powieściopisarskiej Mauriac'a jest jego regionalizm. W zakończeniu powieści lirycznej: „Le Mystère Frontenac” akcentuje autor dwie siły moralne, podtrzymujące na duchu upadłego człowieka: mistykę rodziny i mistykę związku z ziemią ojczystą. Nic tedy dziwnego, że akcja powieści rozgrywa się bądź na terenie Bordeaux, bądź w jego okolicy. Piaszczyste równiny, pokryte lasami i winnicami są tłem utworów. — Co przedewszystkiem różni Mauriac'a od innych powieściopisarzy podobnego typu to: spokój epoki w stwarzaniu wszelkich scen życia ludzkiego. Może być przedstawiona najbardziej drastyczna scena a nie wzbudza ona nigdy u nas tej specyficznej drażliwości, idącej ku nam falą niepokoju, jak to się spotyka u Dostojewskiego. Opisując nam sprawy najbardziej bolesne i złożone nie tkwi w nich Mauriac z upodobaniem, lecz przechodzi nad niemi spokojnie.

W innych numerze „Promienia” warto się zastanowić nad innym niepokojącemi zagadnieniami powieściopisarstwa katolickiego wogóle.

Bogdan Czapicki.

„Kto wie, co jeszcze będzie w tej Polsce? Wszystko być może! Ale wy z lepszymi? Któż lepszy? Ten co dla Niej chce najwięcej, nie dla siebie albo dla swoich.”

Andrzej Strug.

Sport i umysł.

Dziś jeszcze, często bardzo, niepowołani obrońcy kultury ducha, napastują sport, upatrując w stałym rozwoju upodobień do ćwiczeń cielesnych, groźne niebezpieczeństwa dla ducha.

Triumf niezaprzeczony idei sportowej kwalifikują oni jako triumf siły materialnej - nad siłą duchową. Dziwić może trochę, że zwycięstwo idei jakiegokolwiek może być uważane za zwycięstwo nad ideą - jako taką. Wydać to się może zlekka nielogiczne. Nie jesteśmy jednak dość kompetentni aby wchodzić w ocenę konstrukcji rozumowań przeciwników. My, którzy wywody nasze umiemy oprzeć tylko na skromnym, zdrowym rozsądku.

Przejdziemy więc z nieodstępnej nam dziedziny też i antytez, do naszego zwyczajnego, pospolitego myślenia. Postawmy sobie zapytanie, na które dla nas nieprzychylnie odpowiadają obrońcy bezwzględnej duchowości. Czy sport wpływając na rozwój ciała, działa na szkodę umysłu, na szkodę istoty moralnej?

Podobnie, jak zbyt intensywnie hodowanie tkanki mózgowej czasem zamiast do genialności, prowadzi do domu obłąkanych, podobnie zbyt jednostronne interesowanie się stroną fizyczną swego „ja,” przynosi w wyniku ograniczenie jego do minimum. Lecz jak tam, tak i tu jest to objaw chorobliwy, i jak wszystko wyjątkowe, zwraca na siebie uwagę.

Przebieg choroby sportowej bynajmniej nie kończy się katastrofą. Sportowiec, a pod tym wyrazem rozumiemy nie tego, kto jest świadom celu tych zewnętrznych praktyk sportowych, lecz tego, kto wniknął w ich ideę, i nie dąży do wątpliwego dla człowieka ideału.

Nie chce i nie potrzebuje stracić możliwości pozostać... chociażby doktorem filozofii; chce tylko stać się człowiekiem w całej rozciągłości tego pojęcia i bardziej zharmonizować poszczególne składniki istoty ludzkiej, Człowiek bowiem jest całością, składającą się nie z myśli tylko i nie tylko z ciała. Najwięcej, najbardziej utalentowani mędrcy wszystkich czasów twierdzą zgodnie, że duch nie umie się pozbyć pęt nędznego ciała, czuje je stale, jak łańcuch u nóg, jak kajdany, których jest poniekąd niewolnikiem. Nie umie, bo - nie może, bo w niem zamieszkuje, i gdy ono jest chore.

Sportowiec nie chce zmaterjalizować ducha, ale uduchowić ciało. Zamiast kajdan pragnie zeń uczynić fundament, na którym oprzeć się będzie mogła myśl wyzwolona z pęt. Chce, by ciało jego krzepło, żadne zdrowej i słusznej rozkoszy i uciechy życia, nie zamacało równowagi ducha, lecz dźwięczało z nim zgodnie tak, aby melodie obie spletały się w harmonję całości. Chce, aby mózg w drgające włókna mięśni przelał cząstkę swej świadomości, uszlachetnił je do samowiedzy obudził, by sole odżywcze nasycaly zgłodniały mózg i czyniły go zdolnym do intensywniejszej jeszcze pracy. chce zadać kłam określeniu człowieka, „trzciny” myślącej, ale chce stać się „dębem” myślącym, nie uginającym czoła przed burzą.

Sportowiec pielęgnując swe ciało nie słabostkom jego służy i nie im toruje drogę. Kochając je i dlatego, że kocha, ciało swe umartwia, nieraz twardym i bolesnym poddając je próbom.

I on, rzekomy zaprzeczyciel panowania ducha, usiłuje się stać coraz częściej uleglejszym sługą tego ducha, niż tamten zakuty w kajdany nieopanowanych, z ponurej ciemni nienaruszonej pierwotności wyrosłych instynktów. Do walki z nimi nie uzbraja nawet... dyplom naukowy... Uzbraja natomiast — stadion sportowy.

B. P.

Życie szkolne i międzyszkolne jako teren naszej pracy.

Bardzo często bywa tak, że ktoś zabiera się do pracy „społecznej” dopiero wtedy, gdy zostanie przyjęty do „Koła Społecznego”, względnie do „Straży”. Zwykle pracuje już na jakimś terenie np. na terenie T. T. Z-tu, gdzie nabiera owych początków pracy dla Państwa. Natomiast „Straż” ma za zadanie pogłębić jego stosunek do pracy i dać mu pełne zrozumienie obowiązku obywatelskiego. Jedyną właśnie drogą jest dalsza praca realizacyjna. „Straż” nie jest organizacją stworzoną jedynie dla tych, którzy do niej należą, lecz i dla tych, których nie łączy żadna więź organizacyjna. Musimy także pamiętać, że naszym zadaniem jest pozyskanie nie dwóch czy trzech „działaczy” społecznych, lecz podniesienie ogólnego poziomu zainteresowania życiem organizacyjnem i to zainteresowania czynnego. „Straż Przednia”

to organizacja pracy obywatelskiej młodzieży, a na pracę obywatela składają się dwie dziedziny: jego praca zawodowa i t. zw. „społeczna”.

Jeśli chcemy być obowiązkowymi, odpowiedzialnymi pracownikami w społeczeństwie dojrzałym, nie możemy dziś uczyć się lekceważenia swoich obowiązków zawodowych, zaś pierwszym z nich jest oczywiście nauka. Naszym obowiązkiem w szkole jest właśnie przygotowanie się do życia w społeczeństwie. Przygotowanie to nie powinno polegać jedynie na zapewnianiu głowy masą pożytecznych wiadomości, lecz powinno być równoważnym przysposobieniem do życia zbirowego. Chcąc zaś pracować w kierunku odpowiednim, winniśmy wejść głębiej w stosunek każdego z nas do tych obu rodzajów pracy.

Jednocześnie muszą to być ludzie trzeźwi, muszą zrozumieć, że entuzjazm nie może przejść w zaślepienie a energia w zapomnienie o reszcie obowiązków. Najgorszym zjawiskiem w naszych szkołach jest fakt, że praca obecna idzie w dwóch kierunkach. To prawda. Różnych kółek i kółeczek jest sporo — nieraz nawet kilkanaście! Praca rozłożona niezwykle, lecz co najważniejsze, brak treści i życia w tych organizacjach. Wyznam, że to nie we wszystkich. Te jednak kółka, nie wszystkich zadowolają, gdyż są one niby małym tylko podwórkiem przeznaczonym dla dzieci — my zaś chcemy czegoś szerszego, dającego możliwość rozwinięcia większej samodzielności, czegoś, co będzie bardziej podobne do oczekującej nas rzeczywistości.

Musimy tak rozkładać pracę, aby położyć zasadniczy nacisk na pracę wychowawczą w najbliższym środowisku, jakim jest klasa a przede wszystkim szkoła.

Drogami ideowymi, jakimi powinna postępować nasza praca szkolna są: spółdzielczość, samorządy, koła naukowe, propagandowe, oraz koła współpracy z Polakami zagranicą i t. d. Gdy uwzględnimy odpowiednio ten rodzaj pracy społecznej, możemy śmiało pozostałe wysiłki zespołu zwrócić na międzyszkolny. Co zaś do samego rodzaju pracy możemy go teren znaleźć w bardzo wielu miejscach, czyli odcinkach n. p. wprowadzając międzyszkolne wieczory dyskusyjne, współdziałanie z samorządami poszczególnych szkół, współpracę z kołami L. O. P. P. i L. M. i K i wiele, wiele innych.

Praca ta nie jest łatwą do wykonania, gdyż musimy wziąć w niej na siebie najcięższe i najbardziej odpowiedzialne zadanie, tak organizacyjne jak i wykonawcze, jednym słowem musimy dać ludzi z energią i inicjatywą.

St -Kar.

Z teki wzorowych wypracowań.

Nauka w średniowieczu - dziś i w przyszłości.

Wstał blady, cichy jakby załębiony — jesienny poranek. Przez wąskie okno sączyła się żółta smuga światła. W kaplicy, wśród dymu kadzideł rozlegały się głośnie słowa modlitw kapłana i monotonne wyrazy pieśni mnichów. Na prostych z grubych tarcic dębowych, ławach siedziała gromadka bladych, wylekłych chłopiąt. Szaty ich chociaż czyste i schludne, zlewały się w jakś dziwny obraz.

Rozległ się głos kapłana odmawiającego modlitwy po Mszy św. i jękliwy dźwięk dzwonka wywołał gromadkę chłopców w ciemną i mroczną salę refektarza klasztoru.

Mały Zdzych, syn bogatego szlachcica — rycerza, wylekłemi oczyma patrzył na otaczające go mury i zimnych jak głązy zakonników. Wczoraj zaledwie straszny magister gramatyki łacińskiej kazał wszystkim wychowankom nauczyć się wyjątków trzeciej deklinacji. Tymczasem Zdzych nie mógł tego uczynić. Duch jego bawił na dworze ojca i przyglądał się zapasom rycerzy. Rwał się do pracy, do słońca a tu wkuwać musi te głupie... panis, cinis, finis,... bo tak codziennie przez cały rok widmo nudnej gramatyki i szumiącej nad głowami uczniów różgi dawało mu się we znaki. Oj ciężki był jego los...

Kiedy ojciec przyjechał w odwiedziny, to młody Zdzych z płaczem ścisnął ojcowskie kolana wołając:

— Ojciec weź mnie, weź z tego więzienia!...

— Marek, Marek zaczekaj chwilę...

Wolany, smagły chłopak z uśmiechniętem obliczem stanął czekając na kolegę.

Wiesz Marek — mówił, chwytając szybko płucami powietrze, młody chłopak o niebieskich oczach — wiesz, że jutro będzie fizyka jako zastępstwo za grekę?...

— Ślicznie, w porządku, piszę więc sobie na jutro tylko niemieckie a w klasie dokończę arytmetykę...

— We wtorek jedziemy na wycieczkę do K.....

— Pysznie, wyśmienicie, przednio...

— Nasze gimnazjum staje jutro do strzelania o Błękitną Wstęgę Kuratora...

— Dobrze. A co było na polskie napisać?..

— Opisać wrażenia z lektury „Quo vadis”...

— Wiesz Janku, jak się zastanowię nad położeniem naszych kolegów w średniowieczu, to widzę że my jesteśmy o wiele więcej uświadomieni po trzech latach szkoły powszechnej, niż oni po całym trivium i quadrivium...

Zbigniew jest uczniem szkoły technicznej. Jest to jego ulubione zajęcie, gdy kreśli i oblicza koła zębate, wały tryby. Rodzice sami, widząc jego zamiłowanie w tej dziedzinie, oddali go do tego zakładu. Tu pracuje pod bacznym okiem wychowawców-inżynierów, by po skończonych studiach sam ująć w swe ręce przedsiębiorstwo, by wcielić w czyn swe marzenia. Matematyka jest dla niego bagatelką, wzory oblicza na podstawie gotowej tabeli.

Kiedy raz, podeszły wiekiem ojciec przyglądał się pracy syna, uderzony był jego wesołością i swobodą.

— Zbigniewie, — mówił do syna — jaką radość sprawia mi twój widok, żeś zadowolony z nauki i że twe zdolności obracasz w tę stronę, gdzie jest twoje zamiłowanie i twoje ideały...

Przechodząc do wykazania różnic między warunkami nauki w średniowieczu, w czasach dzisiejszych i przyszłych muszę zauważyć, że położenie dzisiejszej młodzieży szkolnej jest o „całe niebo” lepsze od średniowiecznego.

A jakie będą warunki pracy szkolnej w przyszłości? Technika i sztuka pójdzie naprzód równocześnie z nauką w szkołach, która przygotowuje podłoże pod ich rozwój.

Nauka w średniowieczu była torturą, współcześnie jest to coś nieprzyjemnego lub przyjemnego (jak dla kogo) a w przyszłości będzie ona przyjemnością i rozkoszą ducha.

Owczarek Edmund.

Nie widzę powodu aby składać ręce i nie robić dla jego jedynie, że nie można zrobić wszystkiego.

Niepokój.

*Wokół mnie cisza ogromna, półmroczna —
Świątynia w ekstazie zastygła cała,
Światła przygasły zdławione przy oknach
Gotyckich, wśród rozet sieci pajęczej:
Poczerniały w cieniu kwiaty i tęczę
Rozpięte Cud — barwne po kolumn skałach —
Ciszą nasyciła się nieskończoną
Gotycka świątynia posępna -- wspaniała...*

*U marmuru balustrady
Sam jeden klęczę.
Ukryty — nieznanym.
A myśli po skroni bladej
Lecą zwichrzone.
Sam jeden klęczę...
W czar cieniem zasłanej
Melodji ołtarza
Patrzę, jak w tęczę.*

*W ciszy tkwię świętej z głową pochyloną,
Ciepłą skroń złożywszy na chłód marmuru
W duszy składam w rytm myśl mą roztrzęsioną
I drogi szukam — wśród ech — ciszy wtórów.
Za murami wokół dyszy gwar miasta,
Rozbrzmiewa życie po cierpliwym bruku
Łoskotem kroków — dialektem języków!
Grube są mury świątyni! Choć wzrasta
Werwa ruchu, hałasów, hurgot stuków,
Chociaż drży nad miastem fontanna krzyku
— — — Mury są grube — i mocarną ręką
Na progu ciszy zduszą gardło wrzawy.*

*Czy przyjdzie!? Ach! Drzę...
Potępienia, grozy dzień*

*Przewrotu, szalony i krwawy.
Rozłupią się bramy i zawiasów tytany!
! Do świątyni! Dziki runie
Rozgardjasz ulicy w oszalałym tłumie
Z łoskotem pędu, krzykiem złowrogim —
Splamią świętości, roztrzęsą zadumę —
Chuci, postępu postawią bogi...!!
Wokół mnie cisza ogromna, półmroczna —
Ktoś nowy w duszę rzucił mi grom!
Powstaję.
Wtem gdzieś, na wieży
Dzwon
W ton
Uderzy
Sercem spiżowem
W spiż!
Echo grobowe
Aż grzmi
Oddechem trąb.
Idę —
Me kroki grzmią.*

Józef Szczublewski.

Burza.

Hen, za ciemnym krajem lasu, ukazało się potworne ciel-sko ołowiano-popielatej chmury, spiętrzonej w jakieś dziwne zamki i warownie, poszarpanej w ogromne góry i urwiste przepaście. Grad! Oślepiające zygzaki piorunów, mocarne grzmoty, jakby uderzenia olbrzymiemi młotami niestrudzonych rak Cyklopów, grzechot i huk niesamowity - wszystko to zawisło nad spjącemi łąkami i nad rozspiewaną przestrzenią. Mróz jakiś dziwny powiał na niwy. Zamilkły lekkie skowronki, lęk ogarnął całą ziemię. Cisza. Nagle zaszeptały żdźbła zbóż, zaszebrały jękliwe złote kłosy pszenicy, odpowiedział im zalękniony srebrny chór żyta.

Pochyliły się trwożliwie łąny jakby w oczekiwaniu pierwszego ciosu, Piorun rozdarł całe niebo i z sykiem

z dzikim pogwizdem, z szumem, skłębiona rozszalałemi taniami wichrów, misa złomów lodowych ostrokończastych runęła na ziemię i przebiła łono stroskanych porostów pragnących osłonić serce matki-ziemi. Legły pokotem młodociane szeregi liśców - zbite, zmierzwiłone, skłębione w jedną rozmięktą masę. Pozostały dziwne wiry i dziury wydarte, wytargane, szaleństwem, ohydą orgią, pijanych demonów-wiatrów. Znikła gdzieś praca i duma rozmłowanego człowieka, obraz jego duszy, ciche, spokojne i wonne kwietne łany... A rozpasana burza zdawała się drwić i szydzić z owoców swej pracy, oświeclając zniszczenie pożogą błyskawic i śmiejąc się ponurym, strasznym hukiem piorunów.

M. A.

Alojzy Pjojdziński & Ksawery Boliboliński Ska nie-Akcyjna.

— Ksaweryś? Nie mógłbyś ty mi powiedzieć gdzie jutro iść na wagary?

— Aloś! Hm, bo ja wiem? To ci jest głębsza sprawa.

Wczasy tego zastanowienia się, które się odbywa na porprawce z zadania łacińskiego profesor ni stąd ni zowąd odzywa się:

— Boliboliński. Powiedz mi, co to znaczy: „Proles manifesta Superbi, in medios hosks nocte silente venit...”

Ksawery Boliboliński osłupiał najpierw, potem poderwał się a potem, dostawszy kantem książki przez głowę oprzytomniał:

— To znaczy — zaczął — To jest, to trzeba... tak, no więc: Wrogowie dzieci Superbusa, manifestując pośród ci-chą noc weszli."

Alojzy i Ksawery ledwie wyszli z klasy. Skoro zaś stanęli na ulicy, Boliboliński, spojrzawszy ponurym wzrokiem na dwa zeszyty trzymane w ręku, rzekł:

— Aloś, tej słuchaj, a nie oglądaj się. Wiesz takie życie, to nic. Nie dość że „fifa” z greki i z „łaty” a tu jeszcze cię ustnie „wykończy”.

Aloś milczał, bo pogrążony był w kontemplacji trójkąta trzech czwórek za prac, wkońcu jednak westchnawszy jak-gdyby słoń zaziewał, odezwał się grobowym głosem:

— O tak, tak! Święta prawda! Ja nie mogę pojąć tych profików. Jak ci taki poprawia zadanie to atramentu zużyje Bóg wie ile! Nie znoszą miejsca wolnego. Naprzykład u mnie to zastawiam w zeszyt dużo wolnego miejsca. Ot, litery też muszą oddychać. to więc piszę sobie dwie linijki, a reszta wolna zostaje. Wtedy to profesor bierze ci i pozostałe dziesięć linijek ustroi pięknie czerwonymi „glapami.” Niedosć na tem z tych dwóch linii zapisanych robi zeszyt milimetrowy na czerwono. Na zakończenie nie wystarcza mu pisać „dobrze” notę z sześciu liter, tylko wykaligrafuje pięknie stopień czternastoliterowy. I patrz Ksawery: Tyle marnuje się atramentu w dzisiejszych czasach..

Takie i temu podobne wywnętrzanie się naszych spółników trwało aż do momentu, w którym stanęli u wrót swojej stajni albo stancji. Teraz postanowili zreasumować swoje żale i w formie wniosku posłać to do ministra skarbu. We wniosku tym miano zaprojektować nałożenie podatku od atramentów i ołówków czerwonych.

Tymczasem Pjojdziniński i Boliboliński szli po schodach jak potępiency. Na pierwszym piętrze otwarły się drzwi, z za których wychyliła się pani Apolonja Tritowa, wdowa po nocnym stróżu „Kistenfabryki.”

— Żebyś to ino was nie sprąła bez te wasze głupie, sznupy. Lyziecie jak słonie. To ję byde zawdy zamiotała się po was, a wy cingiem bydziecie ćpać mi śmieciami.. i robić hałasy. Jenteligencyja, gamnazjasty! Ta niby się uczom, ale... Co tu godać!!

— Alos!

— Co?

— Coś trzeba będzie zrobić, albo iść do zakonu lub gdzie indziej

— Niby masz rację, bo to ci z tą nauką najgorsza rzecz! Wiesz coś trzeba zrobić.

— No mówię ci do zakonu.

— Te, te! Tak sobie nie kombinuj, że to tak „einfach”. Jak cię tam zaczną uganiać.. Wiesz, lepiej co innego...

— Ale ze światem (czytaj: nauką) zrywamy!

— Zrywamy.

— Napewno!?

— Murowane!

Nagle Ksawery uderzył się w czoło.

— Słuchaj Aloś, ale trzeba napisać te listy, bez tego nie można...

Aloś skoro usłyszał o pisaniu zbladł i wystraszony spojrzał na Bolibolińskiego.

— Co za listy?

Ksawery spojrzał z politowaniem na Alośa i przybrawszy srogą minę zaczął:

— Quousque tandem patientia nostra Catillina.. ab...
Tutaj się zatknął.

— Ab... ap... ad... ob... Zresztą mniejsza z tem, jak tam to jest, psiakrusz, ale wiesz, że zawsze przed stanowczą chwilą w życiu pisze się listy. Jak nie chcesz wierzyć, to zobacz sobie do „Podręcznika savoir vivre'u" na stronie 736, wiersz siódmy od góry...

— Aloś się „skapnął" i olśniony swoją biegłością rozdziawił usta:

— No tak, ale do kogo pisać?

O sancta simplicitas? (Jedyne przysłowie które Ksawery umiał bez błędu, bo co drugi dzień powtarzał mu je profesor od greki:)

Tyś Aloś doprawdy zdurniał! A Maryśka i Klarcia to co?

Powoli, gdy dokładnie obznajomili się z zasadami pisania takich listów, usiedli do stołu, by zacząć.

— Ksawery, — jęknął Aloś — Wiesz tak może okrutnie nie hędziemy w tym liście pisać, bo „nóż a widelec" nie pójdziemy do zakonu...

— Milcz! Com rzekł, to stałe jak góra! Zaczynaj, No, nie becz czasem.

-- Ksawerysiu!

— Zaczynaj do pioruna!

— Już, już. Uważaj więc: O... O... hm... O Ty, któraś jest tak przeze mnie pożądana... jak... hm, no, no hm jak dwójka minus w mych zadaniach greckich...

Ksawery nachmurzył się:

Ech— zachnął — to za suche. Jabym tak chciał O, ty któraś jest dla mnie tem, czem dla... dla... no wiesz... no jak tam? Ech! Zresztą niech tak zostanie.

Po półtorej godzinie stękania, po wypisaniu jednej ósmej butelki atramentu list tak się przedstawiał:

„O ty, coś dla mnie jest jak dwójka z zadania! Na mnie piszącego ten list jak aqua sordidana Sokratesa z rak Ksantypy, spływa cała fala smutków. Łzy mi kapią jak woda przez naczynia Danaid. I tylko Ty, któraś jest dla mnie tem, czem Pharos dla żeglarzy potrafiśz rozświecić mi mój smutek tak ogromny jak kamień który toczył Syzyf. Jeżeli nie ujrzę Ciebie jutro przed bramą Twego domu o godzinie 18, wtedy miecz Damoklesa urwie się, a mieczem tym dla mnie jest wstąpienie do zakonu...

Korząc się przed Tobą jak Nioba przed Apollinem kładę podpis

(—) ?!?!

P. S. Żebyś Ty zrozumiała ten list, który my co prawda niebardzo rozumiemy przepisuję ci te uwagi, które się razem z nim znajdowały w książce. *Savoir vivre* aqua sordida Vide słownik Koncewicza str 63 oraz str 806; Sokrates — imię greckie; nie mylić z Isokratesem; Ksantypa rywalka Kleopatry w piękności. O mały włos zdobyłaby Ksantypa tytuł Miss Uniwersum na konkursie piękności w Aleksandrii w roku 13 po Chr., gdyby nie umarła cztery wieki temu; Danaidy - współwłaścicielki wielkiej fabryki sit i przetaków; Pharos — kto nie wie, co to jest to nic nie szkodzi; Syzyf wykwalifikowany brukarz. Damokles właściciel składu starej broni i włosów końskich."

Sporządziwszy odpisy powyższego listu w dwóch egzemplarzach, Ałóś zaadresował do Maryśki na Cudną nr. 53, a Ksawery do Klarczy, na Rajską nr. 36.

Godzina 18. Na ulicy bardzo nastrojowo bo wiatr wieje piaskiem prosto w oczy a lampy się nie palą. Po ulicy chodzi tylko jeden człowiek. Nagle z bramy nr. 53 wychodzi Maryśka. Ałóś sypie ku niej jak na „stumetrówce" Skoro stanął koło niej i wysapał się, zaczął rozmowę:

— Koleżanko ale dziś cudny wieczór prawda?

— Ehm.

— Co za nastrój uroczy, tajemniczy...

— Doprawdy!

— Człowiek się rozmarzał! Osobiście ogarnia mię niewymowna rozkosz, czar...

— Jak pięknie!

Ałóś o mało co rozplynałby się w nicość, w niebo

— Wie koleżanka? Ja bardzo ten, tego jestem nieśmiały ale dziś, dziś-kiedy tak uroczco, to muszę wyznać, że jestem prawie szczęśliwy. Prawie mówię, bo brak mi jeszcze do pełni...

— Doprawdy! Takie samo uczucie mię ogarnia. Jestem zupełnie szczęśliwa i mało by brakło do pełni czaru gdyby...

Pod Alosiem nogi zaczęły się chwiać i tańczyć jak flaga na maszcie.

— Gdyby (doprawdy nie wiem czy powiedzieć) gdyby

— Ależ koleżanko, śmiało.. Ja...

— Szczęście moje byłoby pełne, ogromne, przez nikogo nie odczute...

— Ach! Szczerze, koleżanko.

— Ot widzi kolega... Tego mi brak do pełni zadowolenia, byś ty... ośle odczepił się!

Brama nr. 36. Godzina 17,57. We wspomnianej bramie stoi dwóch gimnazjastów. Godzina 17,58: Na ulicy słychać kroki. Godzina 18: Chaos podobny do tego przed stworzeniem świata. 18,02 z chaosu wylaniają się dwa cienie, pozostawiając na ziemi cień-plamę. Godzina 18,05: „Plama” zbiera się do kupy. Godzina 18,06: Na ulicy zapalają się latarnie. Godzina 18,07: „Plama” okazuje się Ksawerym.

Okolo godziny 19 Ksawery dokumentnie posiniaczony staje przed bramą ale już własnej stacji.

N. B. Obydwaj panowie ze spółki Pjojda & Boliboliński narazie do zakonu nie wstąpili.

Grzela.

Sanktuarjum ciszy.

Nieraz, gdy po dnia gwarze w panującą woń wieczoru zatopię oblicze i pełną piersią, piersią młodzieńczą wchłonę w siebie wszystkie upojen wonie rozsypane przede mną i oczy znużone utkwię bezwiednie w idący cień zasypiającej natury — wtedy cisza zewnętrzna ukaja zmysły, roztafia się dusza, stygnie serce i łopotać stara się jak najciszej; wtedy od wewnątrz nieznany spokój wylewa się w mem je-

I horyzont myśli rozszerza się, w życia tempo wpatruję się głębiej i więcej rozumiem...

Tak rzadko. —

I czy przyjdą chwile, gdy potok życia rwący wędrze się do głębin duszy, zaleje ostatnie tamy, czy zburzy sanktuarjum ciszy?

?

Może los litościwy się okaże dla mnie, może bałwany powstrzymają się, nie zetrą tej przystani na morzu życia, która jest patosem i smutkiem, czarem i melancholią, czekaniem i...

Nie wiem.

Autor nie wierzy, czy mu kto uwierzy...

Józef Szczublewski.

Drzazgi.

(Jest to rzecz całkiem nowa jakiej jeszcze w tak starym i szanownym organie, jakim jest „Promień”, wogóle nie było. Będzie zaś, o ile rękopis nie zginie, przepływając między Scyllą i Charybdą, tj. między srogim redaktorem odpowiedzialnym, a strasznie zachłannym kosztem redakcyjnym. Mam jednak nadzieję, że.... jakoś się uda. A ci, których „Drzazgi” zadrasną, niech nie krzyczą zanadto i... nie biją biednego autora)

Miłość prawdziwa nie zna przeszkód..

Wczoraj spotkałem mego przyjaciela, Maksencjusza Kielbika. Szedł chodnikiem, prawą stroną (zawsze zważał na przepisy) i odśpiewywał najnowszy szlagier „Gdybym ja miał cztery żony” (Muzyka Golda, słowa Własta, na płytach Columbia z firmy Lutnia, Bielańska) Szedł uśmiechnięty czapkę miał zsuniętą na bakier, bładą swoją twarz kręcił na wszystkie strony, zapewne poszukując kogoś wzrokiem. Wyelegantowany był jak nigdy. Daszek od czapki, jak i buty wyświechtane „Erdalem „lśniły” jak słońce, tak samo i guziki od munduru, szczerze powleczone pomadą do czyszczenia sprzętów mosiężnych.

— Serwus Maksiu! — zawołałem na jego widok — Co tak ranżerujesz po mieście?

— Serwus stary! odrzekł — szukam.

— Że co? Szukasz? Czego? A może kogo? — zasy-pałem go pytaniami.

— Racja jest! odparł — Szukam kogoś. Zakochałem się

— W kim?

— W pewnych czterech panienkach — odrzekł spokojnie.

— Że co? W czterech? — Poczulem, że słabnę — i jak to urządzasz? Którą właściwie kochasz?

— Wszystkie pokolei. Co tydzień inną. Dziś jest właśnie kolej na pewną panienkę z prowincjonalnego miasteczka — odparł. Szukam jej właśnie.

Nie słyszałem już tego. Zemdląłem. Ocknąłem się dopiero, gdy usłyszałem nad sobą głos niewieści mówiący:

— Trzeba go podnieść —

Na co Maksiu:

— Godzinami —

Nie dokończył, bo dostał w łeb i zemdlony upadł obok mnie (Ofiara pięknej koleżanki z prowincji, nienawidzącej słowa „Godzinami.”)

Młody las

Podśluchałem następującą rozmowę między jakimś kolegą, a jakąś koleżanką:

— Co się koleżance najbardziej podobało w „Młodym lesie” zapytał kolega

— Mnie te piękne zdjęcia w parku Łazienkowskim — odparła bez wahania koleżanka — Mają nieocenioną wartość krajoznawczą.

Gdyby cenzura była to przewidziała, na pewno na przedstawieniach dla dzieci i gimnazjów żeńskich nie wyświetlanoby tych scen.

Podnoszono wielokrotnie wychowawczą wartość „Młodego lasu”. Zaiste. Pewien kolega i pewna koleżanka w dwie godziny po opuszczeniu kina odegrali scenę przypominającą scenę w parku Łazienkowskim.

Ostrzeżenie na czasie

Ostrzega się przed wdawaniem się z kolegami zbyt podobnymi do panienek, bowiem może to ściągnąć na nich niełaskę bogów.

P. S.: O ile będę miał kości całe, napiszę coś jeszcze za miesiąc.

„Irena” (Honny soit qui mal y pense).

Rybak.

— Macieju, pojedziesz na ryby? — pytał swego przyjaciela. Jan, stary „wilk morski,” który mieszkał w małej chacie, położonej na skraju lasu, tuż nad brzegiem morza. Maciej nie mógł jechać, ponieważ sieci miał bardzo zniszczone, a łódź nie była lepsza. Wtedy Jan poszedł do izby, wyjął ze skrzyni przyrządy do łowienia ryb, nabił fajkę tytoniem i udał się na brzeg.

Morze było spokojne. Lazurowe niebo wisiało w przestworzach. Rybak położył sieci na złotym piasku i począł przyglądać się uważnie tafli wody, to znów lazurowi nieba. Lecz nic podejrzanego nie zauważył. Rzuciwszy raz jeszcze okiem na morze, rozłożył sieci na ziemi i zaczął gorliwie naprawiać zniszczone miejsca.

Po skończonej pracy podszedł do łodzi, która była wciągnięta na brzeg.

Co chwila małe fale wyciągały swe śliskie łapy, ażeby ją spuścić na wodę.

Jan powkładał sieci na dno łodzi, a następnie wrócił do chaty.

Tam zastał swą małżonkę, nucącą jakąś piosenkę. Ona ujrawszy go uśmiechnęła się. Dla niego uśmiech jej znaczył więcej niż tysiące kilogramów ryb. Kochali się bardzo.

Gdy jej powiedział, iż jedzie na połów, bardzo się zasmuciła i duże perliste łzy ukazały się w jej oczach. Rybak przytulił swą żonę do siebie, pocieszał jak mógł. Kobieta uspokoiła się, bo nie chciała męża trapić, lecz wiedziała, że Bałtyk łakomy jest na ofiary. A i on to wiedział. Przecież morze połknęło mu trzech synów. Został tylko jeden, ich perla, ich wszystko. Teraz właśnie wszedł do chaty wesół z oczyma podobnymi do błękitnego nieba. Wyszli z izby, a sosny z pobliskiego lasu wołały:

Wróć! — Wróć!

Lecz on już siedział w łodzi i kiwał ręką na pożegnanie...

I długo stali: matka z synem, aż łódź zniknęła im z oczu. Fale cicho pluskały o łodzie stojące na redzie. W powietrzu unosiły się srebrno-białe mewy...

Wrócili do domu smutni, jakby ojciec ich już nie żył.

Wtem wiatr przyleciał z krzykiem z za morza. Tłukł się

po drzewach, które jęczały żałośnie, i śmiał się szatańsko. Wkrótce chmury zaczęły ukazywać się na horyzoncie.

Stasiek wybiegł z chaty chcąc zobaczyć co się na świecie dzieje. A tam szalał wiatr, bił fale, które uciekały z rozczochranemi, siwemi grzywami jak dzikie mustangi. Naraz zauważył dość duży kawałek bursztynu. Schylił się, by go podnieść, lecz fala, która z hukiem przybyła do brzegu, wyrwała mu kamień z ręki. Chłopak chciał zakląć ze złości na swoje mazgajstwo, lecz coś go ścisnęło, a w sercu zagrała cicha muzyka... W chacie zastał matkę siedzącą i odmawiającą różaniec.

Burza szalała w całej pełni. Wiatr przeciągał z nią nad wybrzeżem Bałtyku, wzdął wodę aż do dna, przewalił koło mierzei, połamał drzewa w pobliskim lesie. Wichry mieszały morze z chmurami w jeden piekielny zamęt. Wstały olbrzymie słupy wody i leciały z hukiem na iodzie, które albo jęczały żałośnie, albo zostały zalane falami, lub zerwane z lin i uniesione na morze, czy też osadzone daleko na lądzie.

Rybak wkrótce zauważył, że źle zrobił wyjeżdżając na połów. Fale z hukiem leciały na łódź straszne — spienione — wrzące. Dopadłszy wbiły ją aż do dna morza, potem zuciły ku chmurom, potem zwały znów na dno. Aż jedna z desek pękła i uczyniła się szczerba w dnie. Woda wtargnęła do wnętrza. Jan poczuł, że zginie.

Łódź powoli zanurzała się. Gdy miała się skryć pod falami on skoczył do wody. Oślizgłe ramiona morza chwytaly go, lecz rybak wyrwał się i walił rozpaczliwie rękoma po spienionych falach. Lecz jak śmiesznie wyglądała ta walka z żywiołem! Jan choć przeżył cztery dziesiątki lat, nigdy takiej burzy nie widział i z rozumiał, że uratować się jest niepodobieństwem.

Woda zalewała mu oczy, wdzierала się do ust, nosa. Człowiek powoli tracił siły. Chciał tylko jak najdłużej utrzymać się na powierzchni.

Tymczasem morze, jakby rozgniewane oporem rybaka, poczęło go chłostać falami. Wreszcie Jan poczuł, że nadchodzi ostatnia chwila...

Wiatr z szatańskim chichotem przyleciał do brzegu, zwiastując sosnom że rybak Jan — nie żyje.

A one powtarzały żałośnie: Nie żyje! Nie żyje!

Rosada Stefan.

Poezja najmłodszych.

„Promień”.

„Promień”, gazetka szkolna —
jakoby ścieżka polna
idzie do każdej klasy,
wyznacza uczniom trasy...
Gazetka szkolna.

Znajdują się tam zawsze
wiersze, ilustrujące
myśli młodzieży starszej
pożytecznie żyć chcącej,
w Polsce.

Ten to „Promień” kochany,
wychodzi już dziesięć lat,
Tak jest on lubiany,
jak rodzony nasz brat
„Promień” kochany.
Zwyk.

Czy idealna?...

Szkola jest jak morze, bo jak w morzu przy odpływie pozostają muszle i kraby, tak w szkole przy końcu roku pozostają niepromowani uczniowie. Jak w morzu huczą wściekle bałwany, rozpryskując się o skaliste brzegi, tak w szkole słyszy się ciągle przeraźliwe wytwory gardziółków przemitych uczniów. Wiele jeszcze możnaby przytoczyć cech wspólnych szkole i morzu, ale nie tem zamierzam was nudzić, a więc... spuścimy zasłonę na tę kwestję. A teraz przejdę do czegoś innego, co może więcej zaciekać czytelników i czytelników. Otóż gorącym mem pragnieniem jest dać Wam, o ile to jest możliwe, dokładną charakterystykę... klasy. Nie wiem czy wam się będzie podobała, ale myślę, że tak, choć według opinii „starego pokolenia”, nie jest ona wcale idealną.

A więc do dzieła, póki muza sprzyja!

Po głębokiem zastanowieniu i przedebatowaniu wszystkiego w samotności doszedłem do wniosku, że staliśmy się

tem, czem jesteśmy dzięki solidarności i pracowitości. Solidarność jest wielką zaletą. A możemy się nią poszczycić, bo posiadamy ją w zupełności. Bo proszę tylko przyznać, czy gdzie znalazłaby się taka jednomysłność, jak u nas, gdy wypuściliśmy na klasę całe huragany sadzy, a potem milczeliśmy, jak grób, mimo gromów, które spadały na nasze „mizerne” głowy; lub gdy wszyscy „zwialiśmy” z pierwszej lekcji, a nikt nie uchylił się od zbierania owoców wspólnego „czynu”. Takich faktów mógłbym przytoczyć tysiące. A pracowitość? Gdy przychodzę do „klapy”, choć jest dopiero 20 minut przed dzwonkiem, wszystkie głowy zastają pochylone pracowicie, a pióra skrzypią przeraźliwie byle prędzej, byle zdążyć! (O chwalebny wyścigu pracy!) Dzwonek: Praca zaczyna wydawać obfite plony. Pierwsza godzina — lata. Profesor wyrwa mego sąsiada i każe mu tłumaczyć jakieś zawile zdanie. Chłopak zupełnie traci głowę, bąka coś, z czego domyślałem się, że u niego podmiot równoważy się z orzeczeniem. Zniecierpliwiony taką tępotą umysłową profesor krzyczy: Odmieniaj stultus asinus. Zgnębiony sąsiad rzucił mi spojrzenie, w którym wyczytałem tyle grozy, że włosy stanęły mi na głowie dęba i nic nie mogłem powiedzieć, co prawda nietylko z grozy...) A tymczasem biedna ofiara zaczęła odmieniać złamanym głosem stulto asino, stultis asinis... Cóż to, krzyknął rozgniewany profesor nie wiesz ośle co to za część mowy, gadaj. To jest przysł... chciałem powiedzieć rzecz... nie, nie to jest czasownik, krzyknął uradowany i powiódł triumfującym spojrzeniem po klasie. W tej samej chwili usłyszał straszne: Siadaj! Będiesz miał czwórę. Straszne. Ale nie należy się zbytnio przejmować podobnemi wypadkami, bo zdarzają się one przecież prawie codziennie. Ze względu na ustosunkowanie się uczniów do pracy klasę można podzielić na trzy kategorie.

Do pierwszej należą uczniowie, którzy zdobywszy sobie opinie pilnych i pracowitych, spoczywają na laurach, do drugiej należą ci, którzy do półroczka uważają, że nie warto się uczyć, a od półroczka, że już za późno na poprawę. Dla tych koniec roku bywa zwykle bardzo smutny. Do trzeciej kategorii, należą uczniowie niezdolni ale pilni i pracowici. Tym koniec roku „wieńczy dzieło” i rozpoczynają się szczęśliwe wakacje „bez chmur”. Szkoła ma swoje smutki i radości, to trudno. A obok promowanych są leniwi, obok pracowitych „zimujący” czyli pospolicie zwani „repetenci”.

Zgadnij!

Kazimierz Wojtasik i Włodzimierz Szukalski.

Po rzekach i jeziorach...

Wśród uczniów żadnych przygód i emocjonujących wrażeń z pewnością najwięcej znajduje się takich, którzy pragnęliby brać udział w jakiegokolwiek wycieczce kajakowej. Zwykle jednak (w większej części kończą się fiaskiem, to też z całej tej liczby niewielu jest takich szczęśliwych, którzy zaznali rozkoszy pokonywania trudów, przyzwyczajenia do samowystarczalnego utrzymywania się, nieraz trudnego i przykrego, nieraz przyjemnego — co już zresztą od wymagań sprytu, od przebiegłości zależy — i poznawania coraz to nowszych okolic i ludzi.

Do takich wybrańców losu w tym roku myśmy mieli należeć. Mając w sekcji kajakowej przy G. K. L. M. K., zapewnione dwa dwuosobowe kajaki, jeden nowy, drugi już weteran w tej służbie, lecz starannie odnowiony, mogliśmy marzyć o wyprawie. Przygotowania nie trwały długo. — Postanowiliśmy przebyć jaknajwięcej drogi, dlatego wyjeżdżając z Ostrowa, nie wiedzieliśmy dokąd dojedziemy, gdyż o tem miały dopiero w przyszłości zadecydować nasze finanse i prowiant. Warto czasem wspomnieć, że zapasy mieliśmy tak obfite, że z trudnością zabraliśmy wszystkie i, ruszając w „nieznane”, wcale nie obawialiśmy się głodówki. Dnia 9 lipca rano załadowaliśmy wreszcie kajaki na autobus i żegnani przez p. prof. Błaszczaka, który troskliwie opiekował się nami i w głównej mierze przyczynił się do zrealizowania wycieczki, wyruszyliśmy do Kalisza, aby stamtąd Prosną, Wartą i. t. d. popłynąć ku naszemu, kochanemu morzu.

Wodowanie w Kaliszu nie należy do zbyt miłych wspomnień, gdyż pożegnanie, w postaci kamieni leących ze wszystkich stron, jakie sprawili nam Kaliszanie, byłoby miało przykre następstwa, gdyby nie nagła i skuteczna nasza interwencja nie położyła kresu tym niezwykłym objawom czułości. Wędrówkę więc naszą rozpoczęliśmy przy dość oryginalnych warunkach i przede wszystkim pięknej pogodzie. Zaraz za Kaliszem okazało się, że stary kajak nie był dostatecznie uszczelniony, i dlatego zaczął przeciekać. Niezrażeni tem, upajaliśmy się wiosłowaniem i pięknymi widokami. Pierwszy dzień zeszedł nam szybko i ani nie spostrzegliśmy, jak trzeba było zrobić postój, aby posilić się i rozbić obóz. Tej nocy każdy spał jak zabity i rano kucharz (Finke) musiał wywrócić namiot, aby, osłepieni promieniami słonecznymi, maryna-

rze słodkich wód raczyli wstać i zrobić przygotowania do dalszej drogi.

Ciąg dalszy nastąpi.

T. M.

Dorożkarstwo w Chinach i drogi jego rozwoju.

(Humoreska)

Niejeden z czytelników „Promienia” nie myślał zapewne nad tem, że i w Chinach istnieje fach dorożkarski. Nie winię go za tę nieświadomość, gdyż albo nie był nigdy w Chinach, albo też nie interesuje się tem wcale. Przeto wkrótce zaznajomię czytelników z tym tematem. Nie wiem gdzie, czy w Polsce, czy w Chinach wprowadzono tę zasadę że im gorsza dorożka, po tym gorszym bruku jeździ. Prawdopodobniejsze jest, że tę zasadę wprowadzili dorożkarze chińscy, a od nich przejęli to dorożkarze warszawscy. Dorożkarstwo w Chinach, jak zapewne każdemu wiadomo, istnieje od czasów XX wieku przed Chryst. Przez ten czas przejechały dorożki dwa lata świetlne kilometrów i przewiozły dwa sekstylijony pasażerów.

Przez ten czas zdarzyły się tylko trzy wypadki. Najpoważniejszy z nich, że niemowlęciu jadącemu dorożką zdarzył się brzydki wypadek. Jak więc widzimy, dorożkarstwo jest w Chinach zasłużonym zawodem. Nic więc dziwnego, że ono ma przed sobą szerokie drogi rozwoju. Złożyły się na to trzy przyczyny. Pierwsza, mieszkańcy nie lubią kolei z powodu hałasu i zbyt prędkiej jazdy. Druga-to strajk szwaców, trwający już pięć lat, a mogący się ciągnąć jeszcze z piętnaście, i co za tem idzie, brak obuwia i oszczędność w noszeniu dawnego. Trzecia to lenistwo mieszkańców, które każe im jechać dorożką nawet do miejsca oddalonego o dziesięć kroków. Z tych obrazków widzimy, jakie dorożkarze mają powodzenie. Byłoby ono większe, gdyby było więcej dorożek. Przeto rozmaici uczeni udali się do Polski, aby zbadać, co robią Polacy w razie braku dorożek. O wynikach pracy tej ekspedycji usłyszymy wkrótce. Nie wątpię, że badania te będą uwieńczone pomyślnym skutkiem.

Doktór praw i ekonomji

Pan - go - dcy

KĄCIK HARCERSKI

Spała.

Wiele mówimy o Spale, czyto wspominając o zlocie, czy też o dożynkach. Może bliżej zapoznamy się z jej historją.

Spała, jako osada, znana była już przed rokiem 1600, jako Spała Młyn.

Pierwsze wiadomości historyczne o Spale znajdują się w księgach metrykalnych parafji inowlódzkiej. Dotyczą one chrztu dziecka, którego ojciem był Marcin Spała, z zawodu młynarz w r. 1609.

Liczne podania ustne, przekazywane z pokolenia na pokolenie, wiele mówią.

Lasy spalskie znane były z obfitości grubej zwierzyny, dlatego przyjeżdżali tu królowie i książęta na polowania.

Według podań, w borach tych przebywał często Władysław Herman, a nawet kazał wybudować kościół św. Idziego, w którym słuchał często mszy św.

Najstarsza droga ze wschodu na zachód, którą posuwały się karawany kupieckie i orszaki rycerskie przechodziła przez Spalę. Początkowo lasy te były własnością arcybiskupów gnieźnieńskich, jednak w roku 1795 przeszły na rzecz rządu pruskiego. W roku 1806 Napoleon I. obdarowuje Spalę marszałka Davonst'a. W roku 1815 Spała ponownie przechodzi na rzecz rządu. W 1820 Aleksander I. daje Spalę ks. Konstantemu, którego żona w testamencie w roku 1831 rzeka się jej na rzecz przysięgłego króla Polski.

Jak wyżej zaznaczyłem, lasy spalskie były licznie odwiedzane.

Nie brakło tu monarchów rosyjskich, a więc Aleksandra III. i Mikołaja II. Z woli Aleksandra III. Spała stała się rezydencją carów, gdzie wybudowano nieduży pałacyk.

Po roku 1912 Spalę dotknął los wojny. Pozostaje najpierw w ręku Rosjan, potem Niemców. Została całkowicie zniszczona i obrabowana, liczna zwierzyna została prawie wybita.

Pałac carów został zamieniony na szpital wojskowy.

Na miejscu dzisiejszego, stylowego kościółka św. Hu-

berta, stały koszary kozackie, które zostały zburzone z powodu rażącego wyglądu.

Obecnie Spała jest letnią rezydencją Pana Prezydenta Rzeczypospolitej.

Oznaką jubileuszowego złotu Z. H. P. był czarny żubr.

Obecnie stoi on wykuty w skale przed pałacem Pana Prezydenta

Dlaczego żubr?

W roku 1460 król Kaz. Jagiellończyk wyruszył z dworem swoim na polowanie w lasy spalskie. W czasie łowów, król zobaczywszy żubra, wspiał konia i puścił się za nim w głąb kniei. W pewnej chwili żubr stanął i zwrócił się w stronę jeźdźca i zaatakował go. Koń padł przebity rogami zwierza, przywalając króla.

Z groźnego położenia wyhawil króla rybak J. Spała.

Król w nagrodę za odwagę i okazaną pomoc, uwolnił Spałę od danin dworskich i nadał mu żubra jako klejnot herbowy.

Dzisiaj stoi ten żubr w parku Spalskim, jako pamiątka królewskich polowań.

Zródła: Przewodnik po złocie

„Wieści Złotowe.”

M. W.

Wycieczka.

(Opis wycieczki 2 druž. H. D. na złocie w Spale.)

Od samego początku szło wszystko naopak. Termin wyruszenia był już wyznaczony, tornistry spakowane, żołądki już naprzód wypchane, trasa oznaczona a jakoś samej wyrawy nie było. Niejeden zapewne zapyta dlaczego? Wszystko przecież jest przygotowane. No tak, w tem jest dużo racji, lecz mimo to stała nam naprzekór aura...

Kto był na złocie, ten ma pojęcie, czem była ona w rzeczywistości. Wszystkie „sztormy,” nawalnice, tornada są niczem z porównaniu z naszym krajowym, (made in Poland) deszczykiem. Niby to nie leje tak jak z cebra, chociaż tego gatunku ulewy w Spale były, lecz po pięciu minutach pobytu poza namiotem, było się tak przemokniętym, jakby się

w ubraniu skoczyło do Pilicy. Drugą, nie mniej ważną zaletą, czy wadą, bo doprawdy nie wiem jak to nazwać, był fakt, że deszczuk taki potrafił padać przez cały niemal czas zlotu.

Taka to „pogoda stała nam na przeszkodzie w uskutecznieniu wycieczki. Rozdano więc nam plachty namiotowe w które z istic stoickim spokojem przyodziliśmy się i z niezbyt pochlebnem westchnieniem pod adresem pogody ruszyliśmy na linję zbiórek. Potrzymano nas tam trochę, następnie zaprowadzono do hali sportowej, kina i teatru wystawy w jednej „personie.” Stailiśmy tam tak długo, aż glina, z której była zrobiona podłoga rozmiękla. Wreszcie po długich debatach „à la Liga Narorodów,” z komendantami tras obwieszczono, że musimy iść do obozu, albowiem i. t. d. i. t. d. Z długich tłumaczeń zrozumiałem tylko to, że tam trasa rozmokła, deszcz kapie, zaburzenia w naturze, „czy coś w ten deseń.” Gdy wróciliśmy, najgorzej przywitał nas... kucharz. Już naprzód podobno liczył, ile zaoszczędzi na galaretce, śliwkach i. t. d. Niestety z naszym nadejściem plany te rozwiały się w nicość.

W ciągu popołudnia dostaliśmy wiadomość, że wyruszamy nazajutrz ze Spaly na jeden tylko dzień. Tym razem już bezapelacyjnie. Miłe nas ogarnęło zdziwienie, gdy po przebudzeniu dojrzelismy na płótnie namiotu złote plamy.

— Słońce! Brawo, wycieczka się uda! Pełni najoptimistyczniejszych myśli idziemy ze Spaly w teren. Dość szwtko dotarliśmy do ukochanej wsi i tam mieliśmy ugotować obiad. Zastępowy, „Skrzecząca Żaba,” układał wywiad gospodarczy, społeczny i kulturalny w danej wsi. Wiadomości zbierał każdy na własną rękę. W międzyczasie gotował się obiad. Było z nim mało kłopotu dzięki temu, że gotowaliśmy konserwy. Zupa miała tylko mały błąd, którym była zbytnia wodnistość. Powstało to ze zbytniej gorliwości w dolewaniu wody przez kucharza. Miała ona w przybliżeniu smak pomidorowy. No ale głód był najlepszym kucharzem. Drugie danie niemniej prędko znikło w czeluściach żołądka. Rozpoczął się odwrót. Coprawda spóźniliśmy się nieco na zbiórkę, lecz wycieczka w całości wypadła dobrze. Ze śpiwem powróciliśmy do obozu.

M. B. 2 H. D.

Życie organizacyjne.

Sprawozdanie z Walnego Zebrania Samorządu.

Dnia 30. IX. 1935 o godz. 11-tej, odbyło się Walne Zebranie Samorządu Szkolnego. Zebranie zagał Marszałek, kol. Jan Szymoniak. Z kolei Pałys Bronisław z kl. VIII, wybrany został przewodniczącym W. Z. Nastąpiło potem odczytanie sprawozdań: z ostatniego Walnego Zebrania i Marszałka z działalności Samorządu. Po dyskusji nad powyższymi, w której zabrał głos p. Dyrektor, Komisja Rewizyjna w osobie p. Kamińskiego Kazimierza, odczytała swoje Sprawozdanie, w którym podkreślona była cfiarna praca Marszałka oraz potępiona zupełnie ignorancja i lekceważenie obowiązków przez sekretarza i skarbnika. Walne Zebranie na wniosek Kom. Rew. udzieliło absolutorjum tylko Marszałkowi kol. Szymoniakowi Janowi. Następnie rozstrzygnięto kwestję dalszego istnienia Samorządu. W głosowaniu uchwalono kontynuować jego działalność. Załatwiwszy to, przystąpiono do wyboru Władz samorządowych, których skład tak się przedstawia:

Marszałek — kol. Wiertelak Bogdan kl. VII.

sekretarz — kol. Ożegowski Przem. kl. VI b.

skarbnik — kol. Grzesiek Franciszek kl. VII

Kom. Rewizyjna — Przewodniczący: kol. Finke Stefan, kl. VI i członek:

Michalik Daniel kl. VII. II członek: kol. Voelkel Bogdan kl. VIII.

Komisja Świetlicowa: Sitarek Franciszek — przewodniczący.

Nowy Marszałek, objąwszy przewodnictwo, otworzył wolne głosy, w których uchwalono wysokość składek do 60 gr. Kwestję porządku przy wchodzeniu z auli oddano Radzie Główniej.

Po 2 godzinnych i 30 min obradach przy obecności około 400 członków kol. Marszałek zamknął zebranie.

Koło nauk Społecznych.

W dniu 9. X. 35 r. odbyło się zebranie K. N. Społecznych w świetlicy TTZ-u o godz. 4-tej. Po wyborze nowego sekretarza, którym został wybrany kol. Trapczyński VI, przystąpiono do odczytania zażądnięcia p. t. „Jednostka społeczeństwo.” Nad powyższym tematem zawiązano dość żywą dyskusję. Dalej w aktualnościach polityczno-społecznych poruszono sprawę wojny abisyńskiej ze stanowiska społecznego. Dyskusja nad tym tematem zawiązała się nadzwyczaj żywa i dopiero p. Dyrektor, opiekun koła, pogodził nasze rozbieżne stanowiska. Wreszcie kol. kierownik zamknął półtora godzinne zebranie, przy obecności 75 procent. Obecnie koło liczy 11 członków. Zebrania odbywają się co drugą środę o godz. 4-tej.

„Straż Przednia”.

W obozach letnich „Straż Przedniej” w Sienkiewiczach, na Polesiu było czterech uczestników, którzy w powrotnej drodze brali udział w sypianiu kopca Marszałka Józefa Piłsudskiego w Krakowie, na Sowińcu, gdzie nastąpiło rozwiązanie obozu.

Dnia 15. IX. 35 odbyła się nadzwyczajna odprawa, zwołana na życzenie ob. instruktora, który zazwyczaj ją swą obecnością. Tematem odpra-

wy były następujące punkty: 1) Sprawozdanie uczestników obozu „Str. Przedniej” na Polesiu 2) Wybór nowego skarbnika 3) Sprawa wyjazdu na Sowniec do Krakowa (postanowiono zahrać ziemię) Na zakończenie zahrał głos ob. instruktor, pouczając, w jakim kierunku winna potoczyć się praca.

Następnie przeczytał i objaśnił dekalog czyli 10 przykazań organizacji. Odśpiewaniem „Brygady” zakończono odprawę trwającą 2 i pół godziny.

Dnia 28 IX. 35 odbyła się przymusowa odprawa zespołu. Tematem były następujące punkty: 1) Przyjęcie do zespołu nowych kandydatów 2) Sprawa składek 3) wybór nowego bibliotekarza i przewodnika „Koła Imprezowego” 4) ułożenie na pierwsze półrocze następujących referatów: 1) Dyskusja nad „Dekalogiem” Straży Przedniej. 2) Dyskusja nad pewnym wyjątkiem z pism Skwarczyńskiego. 3) Referat „O Polesiu”, 4) Dyskusja nad pewnym wyjątkiem z pism Skwarczyńskiego. 5) Podstawy samokształcenia. 6) „Stary i nowy świat”.

Odprawa trwała 2 godz przy obecności uczestników i p. Opiekuna.

Dział Rozrywek Umysłowych

Pod redakcją „Tońka.”

Logogryf ul. „Tońko.”

Ułożyć 17 wyrazów, których pierwsze litery dadzą rozwiązanie.

- | | | |
|-----|-----------|-----------------------|
| 1. | - - - - - | Imię męskie |
| 2. | - - - - - | Nauka |
| 3. | - - - - - | Imię męskie |
| 4. | - - - | Moneta japońska |
| 5. | - - - | Ogród |
| 6. | - - - - | Metal |
| 7. | - - - | Po angielsku „tak” |
| 8. | - - - - | Główna część kościoła |
| 9. | - - - - - | Tkanina |
| 10. | - - - - - | Mocny |
| 11. | - - - - - | Spadać |
| 12. | - - - - - | Duży |
| 13. | - - - | Imię żeńskie |
| 14. | - - - - - | Liczba |
| 15. | - - - - - | Bawić |
| 16. | - - - - | Odłos |
| 17. | - - - | Drzew |

Wizytówki.

ul. „Tońko”

Ira Olga Tontirk

Zawód tej pani

Inka Nestka

Zawód tej pani

K. Mir. Okno

Zawód tego pana

T R E Ś Ć :

1. Stosunek ucznia do profesora
 2. Francois Mauriac.
 3. Sport i umysł.
 4. Życie szkolne i międzyszkolne jako teren naszej pracy.
 5. Z teki wzorowych wypracowań.
 6. Burza.
 7. Niepokój.
 8. Alojzy Pjodziniski & Ksawery Bolibolinski Ska nie-Akcyjna.
 9. Sanktuarjum ciszy,
 10. Drzazgi.
 11. Rybak.
 12. Poezja najmłodszych.
 13. Czy idealna?... 14. Po rzekach i jeziorach.
 15. Doróżkarstwo w Chinach i drogi jego rozwoju.
 16. Kącik Harcerski.
 17. Życie organizacyjne.
 18. Dział Rozrywek Umysłowych.
-

Klisze

Papiery

Błony

Chemikalja

z a k u p u j w

K ó ł k u

Fotograficznem

Wywoływanie kliszy

Ceny przystępne

**Fotografja, to miłe
z a j ę c i e**

**Zgłoszenia u Polionisa Borysa,
ucznia kl. VII.
lub w Gabinecie Fizycznym.**